

Gość Niedzielny



Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzeszich wiary.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na Niedzielę Przewodnią, czyli pierwszą po Wielkanocy

Lekcja.

1 Jan V. 4—10.

Najmilsi! Wszystko co się narodziło z Boga, zwycięża świat; a to jest zwycięstwo, które zwycięża świat, wiara nasza. Któż jest, co zwycięża świat, jedno który wierzy, iż Jezus jest Synem Bożym? Ten jest, który przyszedł przez wodę i krew. Jezus Chrystus; nie w wodzie tylko, ale w wodzie i krwi. A duch jest, który świadectwo dają na niebie: Ojciec, Słowo i Duch święty; a ci trzej jedno są. A trzej są, którzy świadectwo dają na ziemi: Duch, i woda, i krew, a ci trzej jedno są. Jeżeli świadectwo ludzkie przyjmujemy, świadectwo Boże większe jest; albowiem to jest świadectwo Boże, które większe jest, iż świadczył o synie swoim. Kto wierzy w Syna Bożego, ma świadectwo Boże w sobie.

Ewangelja.

Jan XX. 19—31.

Onego czasu: Gdy był wieczór dnia onego pierwszego Szabbatów, a drzwi były zamknięte, kiedy uczniowie byli zgromadzeni dla bojaźni Żydów; przyszedł Jezus, i stanął w pośrodku, i rzekł im: Pokój wam! A to rzekłszy, ukazał im ręce i bok. Uradowali się tedy uczniowie ujrawszy Pana. Rzekł im tedy zasię: Pokój wam! Jako mię posłał Ojciec, i ja was posyłam. To powiedziawszy, tchnął nań, i rzekł im: Weźmijcie Ducha św.: których odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone; a których zatrzymacie, są zatrzymane. A Tomasz, jeden ze dwunastu, którego zowią Didymus, nie był z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Mówili mu tedy drudzy uczniowie: Widzieliśmy Pana. A on im rzekł: Jeśli nie ujrę w rękę jego przebicia gwoździ, a nie włożę palca mego na miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej w bok jego, nie uwierzę. A po ośmiu dniach, byli zasię uczniowie jego w domu, Tomasz z nimi. Przyszedł Jezus drzwiami zamkniętymi, i stanął w pośrodku, i rzekł: Pokój wam! Potem rzekł Tomaszowi: Włóż sam palec twój, a oglądaj ręce moje, i ściągnij rękę twoję, a włóż w bok mój; a nie bądź niewiernym, ale wiernym. Odpowiedział Tomasz i rzekł mu: Pan mój, i Bóg mój. Powiedział mu Jezus: Iżes mię ujrzał Tomasz, uwierzyłeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli i uwierzyli. — Wieleć i mych

znaków uczynił Jezus przed oczyma uczniów swoich, które nie są w tych księgach napisane. A te są napisane, abyście wierzyli, że Jezus Chrystus, Syn Boży; a iżbyście wierząc, żywot mieli w imię jego.

Spór o posiadanie Grobu św. w Jerozolimie

W XIV. wieku otrzymali Franciszkanie od Turków (za pośrednictwem Roberta sycylijskiego) wyłączne prawo mieszkania przy św. Grobie i spełniania w nim posług religijnych. Dopiero w r. 1673 wydał Mohamed IV. zarządzenie, którem schizmatykom greckim oddał znów wyłączne prawo używania kościoła Grobu Bożego. Po proteście katolickich państw Europy musiała jednak Turcja w r. 1690 katolikom kościół oddać, co zostało potwierdzone w układach w Karłowicach (1699), Passarowicach (1718), Belgradzie (1739) i Systowie (1791). Wyłączne prawo używania Bożego Grobu zastrzeżono wreszcie katolikom w art. 33 t. zw. kapitulacji, przyjętych przez Turcję w roku 1740. W XIX. w. dopuścili się jednak prawosławni duchowni pogwałcenia prawnego stanu rzeczy, przeciw czemu w r. 1850 protestował rząd francuski. Nie załatwiono jednak tej sprawy po wojnie krymskiej, ani w r. 1856 (kongres paryski), ani w r. 1878 (berliński). Z artykułu 62 jednak ostatniego traktatu pokojowego wynika jasno, że Francja w imieniu katolików Europy nie rezygnuje z praw do Grobu świętego. Kongres pokojowy po wielkiej wojnie r. 1919 spór odesłał do załatwienia Anglii, jako mandatarjusze z ramienia Ligi Narodów. W traktacie zaś pokojowym z Turcją specjalną do tego celu komisję. Pojowym z Turcją w Severes (1920) postanowiono powołać do życia specjalną do tego celu komisję. Ponadto w palestyńskim mandacie Anglii w art. 14 ponowiono ten obowiązek.

W maju 1922 r. pisał kard. sekretarz stanu Gaspari do Ligi Narodów: „Stolica Apostolska oświadcza raz na zawsze, że się nie zgodzi na to by komisja miała rozstrzygać o prawie własności miejsc świętych, z których każde przez szereg wieków, także pod tureckim panowaniem, było w spokojnem posiadaniu katolików“. Mimo to rząd angielski rozesłał w lipcu 1922 r. notę, w której zapowiada stworzenie komisji złożonej z przedstawicieli państw interesujących się Ziemią św., trzech wyznań chrześcijańskich: rzymsko-katolickiego, luteranckiego, anglikańskiego, mahometan i żydów. Zgromadzenie Ligi Narodów z r. 1922 zastanawiało się nad tą sprawą, nie powzięło jednak żadnego rozstrzygnięcia.

Modlitwa dziecka

Faraon widział Egipt nie większy od alei, która ciągnęła się przez ogród jego pałacu. Dziwny obraz miał jednak tą własność, że gdy faraon skierował na jakiś punkt baczniejszą uwagę, punkt ten rozrastał się w okolicę prawie naturalnej wielkości.

Słońce już zachodziło, oblewając ziemię złotawo-purpurowym światłem. Dienne ptaki zasiadały do snu, nocne budziły się w kryjówkach. W pustyni ziewały hieny i szakale, a drzemający lew przeciągał potężne cielisko, gotując się do pościgów za łupem.

Nilowy rybak wywłóczył sieci, wielkie statki transportowe przybijały do brzegów. Znużony rolnik odejmował od żorawia kubeł, którym czerpał wodę; inny powoli wracał z pługiem do swojej lepianki. W miastach zapalono światła, w świątyniach kapłani zbierali się na nabożeństwo wieczorne. Na gościńcach opadał kurz i miłkły skrzypiące koła wozów. Ze szczytu pylonów (wieże przy świątyniach) odezwały się jęklliwe głosy, wzywające naród do modlitwy.

Wchwilę później faraon spostrzegł ze zdziwieniem niby stado srebrzystych ptaków unoszących się nad ziemią. Wylatywały one ze świątyń, pałaców, ulic, fabryk, statków, chat wieśniaczych, nawet z kopalń. Z początku każdy z nich pędził w górę jak strzała, lecz wnet spotykał pod niebem innego srebrnopiórego ptaka, który zabiegał mu drogę, uderzał go z całej siły, i — obaj martwi upadali na ziemię.

Były to niezgodne modlitwy ludzkie, które nawzajem przeszkadzały sobie wzbić się do tronu Przedwiecznego.

Faraon wyteżył słuch. Z początku dolatywał go szelest skrzydeł, niebawem jednak mógł odróżnić wyrazy.

I oto słyszał chorego, który modlił się o powrót do zdrowia, a jednocześnie lekarza, który błagał, ażeby jego pacjent chorował jaknajdłużej. Gospodarz prosił Amona (bóg słońca) o czuwanie nad jego śpichrzem i oborą; złodziej wyciągał ręce do nieba, ażeby bez przeszkody mógł wyprzewodzić cudzą krowę i napęlić wory cudzem ziarnem.

Wędrowiec w pustyni upadał na piasek, żabrac o wiatr północny, któryby mu przyniósł kroplę wody; morski żeglarz bił czołem o pokład, ażeby jeszcze przez tydzień wiały wiatry ze wschodu. Rolnik chciał, aby prędzej wysychały bagna po wylewie; ubogi rybak żądał, by bagna nie wysychały nigdy.

I ich modły rozbijały się wzajemnie i nie dosięgały boskich uszu Amona.

Największy zgiełk panował nad kamieniołami, gdzie przestępcy, skuci w łańcuchy rozsadzali ogromne skały. Tam partja robotników dziennych błagała o budzenie przez dozorców, robotnicy partji nocnej bili się w piersi aby nigdy nie zachodziło słońce.

Na zachodniej granicy ujrzał faraon dwie armje gotujące się do boju. Obie leżały na piaskach, wzywając Amona o wytepienie nieprzyjaciół.

Modły tych i tamtych, jak dwa stada jastrzębi, stały się nad ziemią i spadły na pustynię. Amon nawet ich nie dojrzał.

I gdzie faraon zwrócił umęczoną żrenicę wszędzie było to samo.

Lwy, szakale i hieny dyszały głodem i pożądaniem świeżej krwi; jelenie, sarny i zające z trwogą opuszczały kryjówki, myśląc o zachowaniu nędznego życia jeszcze przez jedną dobę.

I tak na całym świecie panowała rozterka. Każdy chciał tego, co lekkiem napęliło innych; każdy prosił o własne dobro, nie pytając, czy nie robi szkody bliźniemu.

Przeto modlitwy ich, chociaż były jak srebrzyste ptaki, wzbijające się ku niebu nie dosięgły przeznaczenia. I boski Amon, którego nie dochodził żaden głos z ziemi, oparłszy ręce na kolanach, coraz więcej zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej boskości, a na świecie coraz częściej rządziła ślepa moc i przypadek.

Nagle faraon usłyszał głos kobiety.

— Psujak!... Psujaczek!... wracaj zbytniku do chaty, bo już pora na modlitwę.

— Zaraz... zaraz!... — odpowiedział głos dziecięcy.

Władca spojrział w tym kierunku i zobaczył ubogą lepiankę pisarza od bydła. Właściciel jej przy blaskach zachodzącego słońca kończył pisać swój rejestr, jego żona rozbijała kamieniem pszenicę na placki, a przed domem, jak młody koziołek, biegał i skakał sześciolatek chłopczyna, śmiejąc się niewiadomo z czego.

Widać upajało go pełne woni powietrze wieczoru.

— Psujak!... Psujaczek!... chodź mi tu na modlitwę — powtarzała kobieta.

— Zaraz! zaraz!...

I znowu biegał i cieszył się jak szalony.

Nareszcie matka, widząc, że słońce zaczyna pogrążyć się w piaskach pustyni, odłożyła swój kamień i, wyszedłszy na dziedziniec, schwyciła biegającego chłopca jak żebraka. Opierał się, lecz wkońcu uległ przemocy. Matka zaś, wciągnawszy go do lepianki, czem prędzej posadziła na podłodze i przytrzymała ręką, ażeby jej znowu nie uciekł.

— Nie kręć się — mówiła — podwiń nogi i siedź prosto, a ręce złoż i podnieś do góry... A niedobre dziecko!...

Chłopak wiedział, że już nie wykreści się od modlitwy, więc, aby jaknajprędzej wyrwać się znowu na podwórze, wznosił pobożnie oczy i ręce do nieba i cieniułkim a krzykliwym głosem prawił zadyszany:

— Dziękuję ci, dobry boże Amonie, żeś tatkę chronił dzisiaj od przygód, a mamie dał pszenicy na placki... I jeszcze co? Żeś stworzył niebo i ziemię i zesłał jej Nil, który nam chleb przynosi... I jeszcze co?... Aha, już wiem!... Jeszcze dziękuję ci, że tak pięknie na dworze, że rosną kwiaty, śpiewają ptaki, i że palma rodzi słodkie daktyle. A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię jak ja i chwalać lepiej odemnie, bom jeszcze mały i nie uczyli mnie mądrości. No, już dosyć...

— Złe dziecko! — mruknął pisarz od bydła, schylony nad swoim rejestrem. — Złe dziecko, niedbale oddajesz cześć Amonowi.

Ale faraon w czarodziejskiej kuli dostrzegł zupełnie co innego. Oto modlitwa rozsztykowanego chłopczyny jak skowronek wzbijała się ku niebu i, trzepocząc skrzydłami, wznosiła się coraz wyżej i wyżej aż do tronu, gdzie wieki Amon zrękami na kolanach zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej wszechmocy.

Potem wzniosła się jeszcze wyżej, aż na wysokość głowy bóstwa śpiewała mu cieniem, dziecięcym głosem:

— A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię jak ja...

Na te słowa pogrążone w sobie bóstwo otworzyło oczy, i padł z nich na świat promień szczęścia. Od nieba do ziemi zaległa niezmierna cisza. Ustał wszelki ból, wszelki strach, wszelka krzywda. Świszczący pocisk zawisnął w powietrzu, lew zatrzymał się w skoku na łąnie, podniesiony kij nie spadł na plecy niewolnika. Chory zapomniał o cierpieniu, zbłąkany w pustyni — o głodzie, więzieniu o łańcuchach. Uciekła burza i stanęła fala morska, gotowa zatopić okręt. I na całej ziemi zapanał taki spokój, że słońce, już ukryte poza widnokregiem, znowu podniosło promieniejącą głowę.

B. PRUS („Faraon“).

Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni

Gospodarz Szczedrzyk z żoną swoją i czeladzią siedział przy obiedzie, gdy wtem psy zaszczekały na podwórzu. Gospodarz mruknął pod nosem: „Ani obiadu nie można zjeść ze spokojem“. Jednakowoż wysłał chłopca od koni na podwórze, aby zajął, kto tam naszedł. Chłopiec wkrótce wrócił, mówiąc, że człowiek pewien prosi o pracę i o kawałek chleba.

Gospodarz już miał wybuchnąć gniewem, ale zanim przykre słowo zdołał wypowiedzieć, gospodyni rozkazała przyprowadzić żebraka do kuchni.

Silny, człowiek lat około 30-tu, zjawił się w drzwiach, a ręce jego żyłaste świadczyły o ciężkiej robocie. Pomimo lichej odzieży nie robił nieprzyjemnego wrażenia, a oczy jego patrzyły pocziwie i rzetelnie, choć wzrok jego zdawał się być nieufny i wystraszony.

Nie zapanowawszy jeszcze całkiem nad gniewem, ostrym głosem zapytał się gospodarz: „Szukacie roboty, tej dostać możecie. Obok szopy leży metr drzewa, możecie je porąbać na kawałki. Jeżeli drzewo to jeszcze długo tam poleży, zgnije ono na nic“. „Poprzednio jednak posilcie się“, wtrąciła gospodyni. Jedna z dziewcząt podsunęła mu talerz zupy. Z wielkim apetytem wprost rzucił się przybysz na posiłek. Gospodyni, przyglądając mu się, doszła do wniosku, że człowiek ów kiedyś lepsze znał czasy. Litość wstąpiła w jej serce! Później niż zazwyczaj odmówiła modlitwę dziękczynną po jedzeniu, aby przybysz miał czas zjeść i drugi talerz zupy. Gdy przechodził koło gospodarza, tenże zauważył do niego: Mam nadzieję, że robota też tak dobrze wam pójdzie od ręki, jak jedzenie. Starsza dziewczyna pokaże wam robotę“.

W milczeniu żebrak zabrał się do pracy. Przy pierwszych uderzeniach ręce jego zadrażały. Nareszcie po długim czasie znów doszedł do rzetelnej pracy. Gdyby tu mógł pozostać, oj, pracowałby z ochotą! Ale, gdy przejrzał świadectwo zwolnienia go z więzienia, wypędzą go z wstydem i krzykiem. Los dalej go będzie prześladował. Bez pracy i bez chleba będzie dźwigał swoją biedę, aż go schwyci rozpacz i z głodu popelni kradzież, która go znów zawiedzie do więzienia. Gdy częściej popelni przestępstwo dostanie się do domu karnego, a stamtąd tylko śmierć go wybawi. Ksiądz więzienny wprowadził go bardzo pocieszał i radził mu mieć ufność w Bogu i ludzi, więcej też uczynić nie mógł, atoli trzy tygodnie już minęły, a on doznawał bezustannie zawodu i cierpiał głód. Wszędzie spotykał te same litościwe twarze, dawano mu kawałek chleba, ale wszędzie kazano mu sobie pójść. Tu dano mu po raz pierwszy robotę; czyż miałby tu wreszcie znaleźć przytułek stały? W duszy Boga prosił o to i ta nadzieja dodawała mu nowej odwagi do życia. Siekiera błyskała tylko w jego ręku, drzazgi latały koło niego, a on wyteżał się, aby pokazać, że umie i chce pracować.

Kiedy gospodarz wrócił z pola, zajął zaraz do przybysza i ani oczom swoim wierzyć nie chciał, na widok ogromnej pracy, jakiej tymczasem przybysz dokonał. Już o wiele przyjaźniejszym głosem kazał mu zaprzestać pracy i tylko żądał jeszcze, aby urąbać drzewo ułożył wzdłuż muru. Do żony swej zaś rzekł: „Nasz zapas drzewa kończy się, niechby obcy z Kasprem pojechał do lasu i stamtąd niechby zwieźli ile potrzeba. W ten sposób miałby u nas na kilka tygodni robotę“.

Gospodyni było to na rękę, bo i ona przedtem widziała, jak obcy pracował rzetelnie i bezustannie.

Po wieczery gospodarz zażądał od przybysza papierów. Ten zbłądził i zadrżał na całym ciele, bo teraz musiał się rozstrzygnąć, czy może pozostać, czy też musi iść dalej. Ze strachem w oczach podał gospodarzowi papiery, które tenże powoli rozwijał. W tem naraz

uderzył pięścią w stół, że aż talerze podskoczyły. Dziewczyny zakrzyknawszy z przerażenia uciekły do chlewa, podczas gdy parobcy zajęli się czempredzej czym bądź na podwórzu, bo oni już znali takie uderzenia pięścią u swego gospodarza.

A przybysz stał tymczasem u drzwi ze spuszczoną głową i jak uderzenia młotem spadały na niego słowa: „Gałgan, więzień“, które wykrzyknął gospodarz. „W tej chwili wynoście się, albo poszczuję was psami“, krzyknął gospodarz trzając się z gniewu.

Zdawało się, że w twarzy przybysza nie było już ani kropli krwi, chciał mówić, ale głos odmówił mu posłuszeństwa; tylko oczy jego błagały o litość. Widok przybysza wywarł wrażenie na gospodyni. Przystąpiła do męża i z całym naciskiem rzekła do niego: „Dopóty ja tu będę, nie pozwolę aby kogoś bito lub psami szczuto. Pokaż mi papiery jego“.

W jednej chwili przejrzała je, a potem zwróciła się do męża: „A więc tak, ponieważ człowiek ten raz w swoim życiu zbłądził, ty go chcesz potępić? Nie sądz, aby ciebie nie sądzono. Czy ty wiesz, co go spowodowało do złego czynu, a czy on nie pracował dziś rzetelnie? Na miłość Chrystusa błagam cię, zatrzymaj go, daj mu wrócić do porządnego życia i wrócić do Boga. Zachowaj jego i duszę jego przed znieszczeniem i potępieniem. Czy my sami nie stajemy się winnymi, jeżeli go wypędzimy od siebie, kiedy dał nam dowód, że chce być znowu uczciwym człowiekiem. Wiesz co zrobimy, mężu kochany? Oto zapytamy się kapłana więziennego o zachowaniu się tego człowieka, ale tymczasem zostanie u nas, aż odpowiedź nadejdzie“.

Gospodarz ostatecznie ustąpił i przybysz pozostał. Nie mogąc mówić z wzruszenia, uściśnął tylko rękę gospodarzowi ze łzą w oku, a potem udał się do wskazanej sobie komory. Tam upadł na kolana i dziękował Stwórcy za niespodziewaną łaskę, jakiej doznał i przyrzekł sobie święcie, że zaufania swych pracodawców nigdy nie zawiedzie.

Jeszcze tego wieczora gospodarz napisał list do księdza więziennego. Ale kiedy po pewnym czasie nadeszła odpowiedź jego, która była jak najlepszym świadectwem dla przybysza i zarazem wyjaśniła powody, które go do swego występku wykloniły, właściwie list już był prawie zbędnym.

Przybysz wierny swemu przyrzeczeniu zapewnił sobie sam stały przytułek swem spokojnem i uprzejmem postępowaniem i swą rzetelną pracą.

A co niedzielę widziano onego przybysza w kościele w którym na klęczkach Boga prosił do wytrwania w dobrem.

Oboje Szczedrzykowie uczuwali na widok rzetelnego przybysza serdeczne zadowolenie i nikt się też od nich nie dowiedział, że ten który później był u nich pierwszym z domowników, był kiedyś skazańcem więziennym.

MARJA KONOPNICKA

Nasza szkapa

(Ciąg dalszy)

—Moździerz? — powtórzyłem szeptem, nachylając się ku twarzy matki.

Dyszała ciężko, nierówno, w piersiach słychać było świst ostrej. Nie odpowiedziała nic, tylko mnie przytrzymała za rękę. Dłoń jej była zimna, wilgotna. Dwa czy trzy razy otwierała usta bez głosu, poźółkle jej czoło potem się okryło.

Chwyciła powietrza głębokim, do westchnienia podobnym oddechem.

— I rondel... — szepnęła z wysiłkiem.

— Rondel?... — rzekłem równie cichym głosem. Skinęła tylko ręką, głowa jej opadła na poduszkę. Oczy się przymknęły.

Wyleciałem, jak oparzony, trzymając czapkę w garści. W sieni spotkałem Felka.

— Słysz, ty — krzyknąłem mu w ucho. — I rondel, i moździerz, i żelazko, wszystko ci het sprzedajem!

— Siarczyste! — rozśmiał się Felek i wyskoczył w górę na tę uciechę, trzasnąwszy się dłońmi po udach. Ten skok, to była najlepsza sztuka w całym repertuarze jego. Nigdy mu w nim dorównać nie mogłem. Rzucił się w powietrze tak łatwo, jak ryba w wodę. Zараż też we dwóch poleciliśmy na Szczyglą, bo Felek ambitny był i nigdy mi o włos przed sobą nie dał.

Ale maglarka nie chciała wiele ze mną gadać. Powiedziała, że jej rondel niepotrzebny, a moździerz i żelazko ma swoje. Wyszliśmy oburzeni.

— Dzisz babę! — krzyknął Felek. — Rondel jej niepotrzebny.

Z błyszczącymi oczyma czekała matka; a gdy mi o skutku naszej wyprawy powiedział, westchnęła, jakby doznawszy wielkiej jakiej ulgi.

Przed wieczorem jednak znów mnie zawołała i kazała biec po „handla“. Wylecieliśmy obaj z Felkiem, uszczęśliwieni, że się jeszcze ta sprawa nie skończy. „Handel“ przyszedł, obejrzał żelazko, obejrzał moździerz, obejrzał rondel i, wykrzywiwszy wzgardliwie usta, powiedział, że to wszystko na szmela tylko chyba. Żelazko przepalone, moździerz mały, rondel cienki i nitowany z boku... Za trzy te sztuki razem dawał dziesięć złotych.

Porwała się matka i na łóżku siadła.

— Co?... Dziesięć złotych?... Sam moździerz kosztował pięć złotych i trzynaście groszy! A żelazko!... A rondel!

Nu, na szmela... — zaczął „handel“.

Ale nie dopuściła go do słowa i trzesąca się ręką drzwi mu pokazywała.

— Idźcie!... Idźcie!... Niech was moje oczy nie widzą!... Nie wy jedni na świecie. I posłała na natychmiast po innego „handla“, po Rude go, co od nas stół ostatni kupił.

Lubiłszy bardzo tego Żydka, bo koncepty różne, kupując ów stół, prawil, a za odniesienie go na drugą ulicę, mnie i Felkowi po orzechu dał. Prawda, że Felków był dziurawy, ale cały dzień na nim gwizdał, że to niby kolej odchodzi. Poleciliśmy tedy po Rudego. Szwargotał na rogu przed sklepikiem z tym pierwszym, który od nas wyszedł. Zaraz jednak worek z butelkami na plecach poprawił i za nami poszedł.

Ale obejrzawszy moździerz, rondel i żelazko, dawał za nie tylko dziewięć złotych i sześćnaście groszy; mówił też, że moździerz to się i na szmela nie zda. Matkę aż febra trzęsła i, choć się ruszyć prawie nie mogła na łóżku, wyrwała przecież rondel i puściła go na ziemię. Jęknął, jak dzwon rozbity...

Dziwnego wrażenia doznałem, słuchając tego jęku. Zdawało mi się, że jęknęły węgly naszej izby.

Matka zasłoniła oczy i zaczęła płakać.

Nim wieczór przyszedł, było u nas jeszcze z pięciu „handłów“; ale co jeden to mniej dawał; choć o dwa, o trzy grosze, ale mniej. Szwargotali, kłócili się między sobą, wyrwali sobie nasz moździerz i nasze żelazko, hałas był większy, niż na Pocięjowie.

Felek tylko mnie poszczypywał z tej uciechy.

— To ci heca! — wołał, dusząc się od tłumionego śmiechu, i dla ulżenia sobie wywinął pysznego kozła.

Powynosiły się nareszcie Żydy, zaduchu w izbie na-

robiwszy; rondel, żelazko i moździerz stały rzędem przy matce na ławie. Patrzyła na mnie wzrokiem smutnym, zmęczonym, osłupiałym prawie. Ale gdy mróz coraz większy na noc brał, a Piotruś, zwyczajnie bąk niewytrzymały, piszczeć zaczął, że mu zimno, że głodny, kazała mi matka biec do stróżki i zapytać, czy żelazka nie kupi.

Ale stróżka nie zapomniała widać owej matczynnej odmowy. Odeła się też zaraz jak karmelicka bania.

— Jak będę miała kupować, to se nowe kupię! Co mi tam po starym gracie!

Kiedym to powtórzył matce, ognie uderzyły na nią.

— Nie, to nie! — zawołała głosem, drżącym z gniewu. — Widzicie ją! Grat!... stary grat!... Jaka pani! Jak pożyczyć, to jej było dobre, a jak kupić, to stary grat! poczekaj, ty flądrow!... jędo...

Zakaszła się i za piersi chwyciła, ale jej nie było co popić dać, bo ziółka dawno wyszły.

— A to ci tyjatr!... — szepnął Felek, szczypanwszy mnie do bolącego.

— Wicus! — odezwała się matka przerywanym głosem — biegajno do tego najpierwszego „handla“, co dziesięć złotych dawał. Do tego czarnego, wiesz? Niech przychodzi. — I, przymknawszy zmęczone oczy, szepiała:

— Za psie pieniądze sprzedam, zmarnuję, a tobie jędo, flądrow jedna, wara od starych gratów na ludzki dobytek wydziwiać... Nie użyjsz! Nie użyjesz!...

I umilkła, wyczerpana zupełnie.

Felek aż się piętami po łydkach bił, tak ze mną po Żyda leciał. Myśleliśmy, że go Bóg wie gdzie szukać przyjdzie, a on prawie wprost naszej bramy stał, ręce za pas u chalała założył i bokami spluwał. Zupełnie jakby czekał na nas. Kiedy Felek, podleciawszy, szturchnął go w łokieć, błysnęły mu oczy zmrużone, jak kotu, i pociągnął nosem. Poszedł za nami prędko, skwapliwie. Ale i on teraz więcej dać nie chciał, jak „równe dziewięć złotych“. To „równe“ mówił takim głosem, jakby do owych dziewięciu złotych przynajmniej z pół rubla dokładał.

Matka znów się zapaliła na twarzy.

— Człowieku! — krzyknęła. — A toćże tego nie ubyto! A toćżeście pierw dziesięć złotych dawali. A toćże to samo!

— Nu, to co, że to samo? — odrzekł flegmatycznie „handel“. — Ja się namyslał...

— Daćcież już tak dziesięć złotych, jakeście dawali... Miećcież sumienie!...

— Nu, ja sumienie mam! Żeby ja sumienie nie miał, toby ja ośm złotych dał, a że ja sumienie mam, to ja dam równe dziewięć.

— A żeby was Bóg ciężko skarał za moją krzywdę! — jęknęła matka.

— Co to skarał? — szarpnął się „handel“. — Za co skarał?... Czy ja darmo chce wziąć? Czy je plewy daję? Nu, ja daję gotowe pieniądze.

Matka już nic nie odpowiedziała, twarz jej była tak biała, jak krążek opłatka. Kiedy Żyd liczył pieniądze, Felkowi oczy latały za każdą dziesiątką. Co tylko która była choć trochę starta, natychmiast ją z szeregu wyrzucał, krzycząc, że fałszywa. Żyd sykał z początku, potem rozczzerwienił się tak, jakby go apopleksja tknęła miała, zamierzył się raz nawet na Felka, doprowadzony do ostatniej pasyi, aż nagle uśmiechnął się, dobył z kamizelki grosz dobrze szerniały i, podając go Felkowi, rzekł:

— Nu, ty mądry chłopiec! Ty urzędnikiem będziesz! Na tobie na piernik!

(Ciąg dalszy nastąpi)